

# +Benedictus

Nr 104 (139)

Tyniec-Olsztyn-Warszawa

luty 2020

Gdy potem upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, przynieśli Je do Jerozolimy, aby przedstawić Panu. Tak bowiem jest napisane w Prawie Pańskim: Każde *piernorodne dziecko płci męskiej będzie poświęcone* Panu. Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego (Łk 2,22–24).



4 Gertruda znów zaczęła skarżyć się na swoje fizyczne ograniczenia, więc Pan rzekł do niej: „Jeśli w świątyni Symeon i Anna – to znaczy osłabienie chorobą – powstrzymują cię od udziału w świętym oficjum, wejdź do Mnie, na górę Kalwarii, gdzie znajdziesz pięknego i w sile młodości twego ukochanego rozpiętego na krzyżu.” Kiedy tam przybyła w duchu i przez jakiś czas ogarnięta tklivością trwała w rozpamiętywaniu Męki Pańskiej, zdało się jej, że wchodzi przez bramę od północy i przybywa do wspaniałej świątyni, gdzie zobaczyła świątobliwego starca Symeona, który stał przy ołtarzu i tak się modlił: „Kiedy On przyjdzie? Kiedy Go zobaczę? Myślisz, że dożyję? Myślisz, że On mnie tu jeszcze znajdzie?”

5 A gdy po wielokroć powtórzył te i podobne słowa, rozradował się w duchu, odwrócił się z pewną gwałtownością i zobaczył najświętszą Dziewicę stojącą przed ołtarzem i trzymającą w objęciach Dzieciątka Jezusa – najpiękniejsze spośród synów ludzkich. Gdy to ujrzał Symeon, natychmiast oświecony przez Ducha Świętego poznał, że On jest Odkupicielem świata. Wtedy z ogromną radością wziął Go w ramiona i wykrzyknął: „Teraz pozwól odejść słudze Twemu w pokoju.” A wypowiadając słowa: „Bo oczy moje ujrzaly Twoje zbawienie”, czule ucałował Dzieciątka. Mówiąc: „Które przygotowałeś...” uniósł Je nad ołtarzem, ofiarując Bogu Ojcu na prawdziwe zbawienie ludów. Wówczas ołtarz – niby Arka – odbił blask jak najczystsze zwierciadło i ukazał się na nim otoczony światłem wizerunek najmilszego i najukochańszego Dzieciątka Jezus. Był to znak i jasne świadectwo, że w Nim znalazła doskonale wypełnienie każda ofiara Starego i Nowego Testamentu. Kiedy to ujrzał Symeon, wykrzyknął z żarliwą miłością: „Światło na oświecenie pogan!” i oddał Dzieciątka matce mówiąc: „A twoją duszę miecz przeniknie.” Zaś dziewicza Matka położyła Go na ołtarzu i ofiarowała za Niego dwa lśniące białe młode gołębie, które Dziecię królewskie jakby samo podsunęło drobną rączką. Te gołębie oznaczały proste i niewinne życie wiernych, którzy – tak jak gołębie – wybierając rozważnie odrzucają wszelkie zło i zbierają tylko dobre ziarno, to znaczy starają się naśladować wspaniałe przykłady świętych. Tacy ludzie – jeśli tak wolno powiedzieć – w pewien sposób wykupują Pana Jezusa, gdyż przez swoje święte życie dopełniają częściowo tego, czego – mimo iż to zawarte jest w Jego najdoskonalszej nauce – nie dopełnił w swej mądrości sam Pan (por. Kol 1,24).

*(Zwiastun Bożej Miłości, św. Gertruda z Helffy)*

## OD RANA WOŁAM DO CIEBIE

Przyjdź, Duchu Święty,  
a poranek dzisiejszy i dzień cały stanie się jasny.

Przyjdź, Duchu Święty,  
a wszyscy, którzy rozpoczną pracę,  
zjednoczą się, aby dobrze działać.

Przyjdź, Duchu Święty,  
tam bowiem gdzie Ty jesteś,  
znika lenistwo, giną złe obyczaje.

Przyjdź, Duchu Święty,  
a przed Twoją miłością  
ustąpią nasze pyszne ambicje.

Przyjdź, Duchu Święty,  
tam bowiem gdzie Ty jesteś,  
uznamy w naszych bliźnich braci i siostry.

Przyjdź, Duchu Święty,  
dnem dzisiejszym kieruj i rządz.  
Bądź z nami i niech wszystko dzisiaj  
będzie dobre i nowe.

Amen.

## WARSZAWSKIE SPOTKANIA BENEDYKTYŃSKIE

29/30.11.2019

### MODLITWA BENEDYKTYŃSKA:

AUGUSTYN BAKER OSB I TRADYCJA ANGIELSKA

BR. GRZEGORZ HAWRYŁECZKO

Modlitwa w naszej benedyktyńskiej tradycji jest czymś kluczowym. Mimo iż ta właśnie tradycja jest nam bliska i cały czas trwamy w jej nurcie, co jakiś czas odkrywamy w niej jakieś niezbadane lub zapomniane terytoria. W jedno z takich terytoriów chciałbym teraz właśnie zabrnąć.

Zacznę od mojej osobistej historii. Kiedy przyszedłem do klasztoru, mogłem zapoznać się z różnymi szkołami modlitwy, promowanymi przez nasze tyńskie publikacje. Była więc medytacja chrześcijańska według benedyktynów o. Johna Maina i o. Laurence'a Freemana; lub o. Basil Pennington OCSO i tzw. modlitwa prowadząca do środka (ang. *centering prayer*); lub mnisi prawosławni i modlitwa Jezusowa. To były konkretne metody w łonie monastycyzmu. Formowałem się w duszpasterstwie dominikańskim, więc wiedziałem też, że dominikanie rozpropagowali modlitwę różańcową na cały Kościół; znalazłem jezuitów z ich *Ćwiczeniami duchowymi*. Jakie więc pytanie nadeszło się wówczas mnie, młodemu człowiekowi, który szukał swojej benedyktyńskiej tożsamości? Pytanie dość oczywiste: a jaka jest nasza własna, benedyktyńska metoda modlitwy? Jesteśmy przecież najstarszym zakonem katolickim — ba, jesteśmy starsi nawet niż samo pojęcie zakonu, które pojawiło się kilkaset lat po założeniu benedyktynów! Wypada więc chyba, żebyśmy mieli coś swojego — taką metodę modlitwy, która nie będzie ani zapożyczona z prawosławia (modlitwa Jezusowa), ani „wynaleziona” w XX w. (jak techniki ojców Maina, Freemana i Penningtona).

Fakt jest jednak taki, że nie mamy żadnej własnej techniki modlitewnej — w tym znaczeniu, że nie mamy jednej zwięzłej formuły, która byłaby wyrażnie benedyktyńska i znajdowałaby się nieprzerwanie w użyciu od półtora tysiąca lat. Niestety, nie możemy tego stwierdzić. Po części jest to związane z brakiem ciągłości tradycji benedyktyńskiej, spowodowanym kasatami klasztorów; wątki tradycji monastycznej zostały pozrywane. W tym miejscu warto

zadać sobie pytanie, dlaczego narodził się monastycznym solesmeński i klasztor francuski (kongregacji Solesmes); skąd wzięło się wyobrażenie, że chorał gregoriański jest śpiewem anielskim, a więc wzniosłym, wręcz eterycznym? Powodem jest zerwana tradycja. Ponieważ chorał był praktykowany w klasztorach, a więc w zamkniętych grupach mężczyzn (i kobiet), był śpiewem zdatnym do wykonania przez prostych mnichów, śpiewanym naturalnie. Natomiast w XIX w. odtworzono pewne romantyczne wyobrażenia na temat monastycyzmu i zaczęto śpiewać chorał w nowy sposób — przesadnie lekki, „uduchowiony” w specyficznym znaczeniu tego słowa. Utraciono kontakt z dawną tradycją. To pokazuje nam, że odpowiedź na pytanie o tradycyjną modlitwę benedyktyńską jest o tyle trudne, o ile nie możemy drobiazgowo odtworzyć naszych tradycji także w tej sferze.

Można by zaprotestować i powiedzieć, jak stwierdziliśmy na początku: przecież modlitwa to rzecz kluczowa. Jak można było zatracić coś tak ważnego? Prawdopodobnie jednak takiej jednej, wyraźnie wyodrębnionej benedyktyńskiej techniki modlitewnej nie było — lub było ich wiele. Możemy przypuszczać, że nasi bracia w Tyńcu przed kasatą modlili się na różańcu — na krążanku w Tyńcu mamy kapitułarz gotycki, gdzie sklepienie jest zdobione scenami z tajemnic różańca świętego. Bezpośrednio w okresie poprzedzającym ich wymalowanie sporządzono obraz Matki Bożej Śnieżnej. Pewnie akcenty duchowe w Tyńcu tak się właśnie rozkładały. Zatem nawet jeśli uda nam się sięgnąć poza etap kasat, okazuje się, że mnisi modlili się na rozmaite sposoby.

Natomiast każdy, kto przyjrzy się historii życia mniszego i temu, jak mnisi się modlili, będzie w stanie wyróżnić kilka wspólnych cech tego, co uważamy za modlitwę mniszą. Skoro więc nie znajdujemy jednej konkretnej metody, spróbujmy wymienić te rysy, które modlitwie monastycznej towarzyszą przez wszystkie stulecia.

Pierwsza cecha tej modlitwy to głębokie osadzenie w Piśmie Świętym, jej biblijny charakter. Od samego początku mnisi egipscy wytrwale powtarzali fragmenty Pisma Świętego i przez ukrytą medytację, *krypte melete*, wnikali w ich treść. Drugi element modlitwy monastycznej to jej monologiczny charakter; zwykle była ona oparta na jednym krótkim sformułowaniu, które mnisi stale powtarzali i w ten sposób zbliżali się do Pana Boga. I trzeci element to dopełnienie modlitwy osobistej przez oficjum, czyli przez to, co dziś zwiemy Liturgią Godzin. To również obserwujemy od samego początku, od

czasu monastycyzmu egipskiego i palestyńskiego. Wiemy, że Ojcowie Pustyni, owszem, modlili się w samotności, ale przynajmniej raz w tygodniu zbierali się wieczorem na niedzielne wigilie, aby wspólnie odmawiać psalmy. Jest z tym związany apoftegmat, który mówi, że mnisi nie wiedzieli, ile psalmów mają odmawiać. Zaczęli się więc modlić, i po dwunastym psalmie pojawił się na krótko anioł w wielkim błysku. Mnisi uznali, że to znaczy, iż na dwunastu psalmach mają poprzestać — i faktycznie aż do Drugiego Soboru Watykańskiego odmawialiśmy dwanaście psalmów w Godzinie Czytań. Warto zatem zapamiętać, że ta wspólna modlitwa Liturgią Godzin jest w naszej tradycji od najdawniejszych czasów.

Innym, czwartym już elementem modlitwy mniszej jest unikanie wyobrażeń i obrazów podczas modlitwy, a także unikanie prowadzenia intelektualnych rozważań w jej trakcie. W czasach mnichów egipskich popularna była tendencja, by antropomorfizować Pana Boga i w wyobraźni nadawać Mu ludzką postać. Niektórzy mnisi byli do tej myśli mocno przywiązani. Ze zwalczaniem tej herezji związana jest inna historia, którą św. Jan Kasjan przytacza w swoich „Rozmowach”: gdy udało się przekonać abbe Serapiona, że Bóg nie ma ciała, ów

„załamał się na duchu. Spozrzegl bowiem, że z jego serca zniknęła gdzieś obraz Boga, ukształtowany na wzór człowieka, który dotąd przywoływał na modlitwie. Wybuchnął więc gorzkim płaczem i z wielkim szlochem rzucił się na ziemię, wołając: »Biada mi biednemu! Zabrali mi mojego Boga! Do kogo mam się teraz zwrócić, kogo uwielbiać, kogo błagać!?!«” (zob. ZM 28, s. 411).

Od początku monastycyzm walczy z praktyką sprowadzania Boga do widzialnych wyobrażeń i niechętnie odnosi się do wspomagania się wyobrażeniami w czasie modlitwy. Korzystanie z wyobraźni na modlitwie jest owocne i pożyteczne w Kościele – mamy z tym do czynienia podczas „Ćwiczeń duchowych” św. Ignacego z Loyoli. Częścią tego nurtu duchowości jest na przykład wyobrażanie sobie własnego udziału w jakiejś scenie biblijnej i badanie własnych reakcji. Tradycyjnie jednak monastycyzm od tego stroni i zachęca mnichów i mniszki, by dążyli do możliwie bezpośredniego spotkania z Bogiem na modlitwie, bez pośrednictwa wyobrażeń. W pewnym sensie był to przejaw duchowego radykalizmu: mnich wszystko sprzedaje, odchodzi na pustynię, żyje w samotności, nie korzysta z wielkiej biblioteki i z pobożnych wyobrażeń — szuka Boga samego.

W tradycji mniszej z Panem Bogiem chcemy więc spotykać się nie dzięki takim czy innym obrazom lub pojęciom, ale dzięki temu, że Bóg sam będzie w nas działał swoją łaską. Chcemy spotkać się z Bogiem w wielkiej prostocie i w nagości spotkania z Nim.

Następny, piąty, element modlitwy benedyktyńskiej (niełatwy do zniesienia!) to asceza i umartwienie. W tradycji monastycznej asceza rozpoczyna bardzo wiele rzeczy. I właśnie monastycyzmowi egipskiemu – oraz później św. Benedyktowi – zawdzięczamy to, że we wszystkich podręcznikach do teologii ascetycznej i mistycznej przez kolejne wieki, pierwszy rozdział zawsze dotyczył umartwień lub cnót. Umartwienia to walka z namiętnościami – najpierw ruguje się zle obyczaje, skłonności do konkretnych grzechów, nalogi. Potem przychodzą cnoty, a więc walka o to, co jest pozytywne; o zdolność do czynienia dobra. Ta droga oczyszczenia jest zawsze pierwszym etapem.

Omówiliśmy pięć elementów, które wyróżniają tradycję monastyczną. Nie jest to zapewne lista wyczerpująca, ale zostawmy ją w tym miejscu.

Wracając ponownie na chwilę do mojego nowicjatu: kiedy szukałem informacji o naszej modlitwie benedyktyńskiej, otrzymałem jako lekturę „Listy o modlitwie” Johna Chapmana. To tekst, do którego warto wracać wielokrotnie. Ojciec John Chapman był opatem angielskiego klasztoru benedyktynów w Downside; w okresie przed i po I wojnie światowej był znany jako znakomity kierownik duchowy. Chapman pisał listy do osób, które szukały jego kierownictwa: do księży, do świeckich, do sióstr zakonnych, do mniszek i mnichów. Listy były sposobem prowadzenia duchowego, zaś ta książka jest zbiorem jego korespondencji – korespondencji bardzo życiowej i praktycznej, bo traktującej o sposobach radzenia sobie z trudnościami podczas modlitwy, z którymi borykamy się również w naszych czasach. Naukę o Johna Chapmana można by streścić do dwóch maksym. Po pierwsze: „Módl się jak potrafisz i nie módl się, jak nie potrafisz” oraz „Im więcej się modlisz, tym lepiej to idzie”. Kiedy słyszymy te motta, wydają się bardzo zdroworozsądkowe, nie jest to żadne „odkrycie Ameryki”. Jednak prawda jest taka, że bardzo często modlimy się tak, jak nie potrafimy. Usilnie próbujemy wejść w formy, które są przeznaczone nie dla nas, bo ktoś np. wmówił nam, że nie postąpimy do przodu w życiu duchowym, jeśli nie będziemy odmawiać codziennie nowenny pompejańskiej. A to przecież bardzo dużo czasu każdego dnia zajmuje. Może zatem warto wziąć pod uwagę, że Pan Bóg nie zawsze oczekuje od nas rozbudowanych form, lecz chce, abyśmy modlili się tak, jak

umiemy w danym momencie. Zacznijmy od małych form, prostej i krótkiej modlitwy, zanim będziemy chwytać się za wielkie formy, które prędko nas przerosną.

John Chapman, będąc świetnym kierownikiem duchowym, na pewno nie zawdzięcza wszystkiego samemu sobie. Oprócz tego, że Chapman wszystko zawdzięcza Panu Bogu, to w wielu miejscach, wspomina o Augustynie Bakerze. I właśnie Augustyn Baker, do którego wreszcie docieramy, w pewnym momencie stał się dla mnie wielkim odkryciem: ten autor, który szeroko pisał o konkretnej metodzie modlitwy, nagle przywrócił mi nadzieję, że jednak istnieje pewien nurt duchowości typowo benedyktyńskiej, sformułowanej i opracowanej przez benedyktynów i benedyktyнки, a także przekazywanej przez benedyktynów i benedyktyнки dla ich następnych pokoleń, aż po dziś dzień. A początek ten nurt bierze właśnie w klasztorach brytyjskich.

Ojciec Augustyn Baker urodził się w 1575 r., zmarł w 1641 r. To czasy, kiedy w Anglii katolicycy byli prześladowani i mordowani; również z tego okresu pochodzą męczennicy angielscy. Były to bardzo krwawe prześladowania i niezwykle trudne warunki do wyznawania wiary. Baker urodził się w Walii, w rodzinie katolickiej. Poszedł na studia do Oksfordu, i jak to się bardzo często zdarza na studiach, stracił wiarę w Boga. Jest jednak pewne zdarzenie w życiu Bakera, o którym niewiele wiemy. Jego życie znalazło się pewnego dnia w nagłym zagrożeniu, zmierzał ku pewnej śmierci i został z tego w cudowny sposób wyratowany. Sam o tym pisze jako o niewątpliwym cudzie. Wówczas Baker odzyskał wiarę w Boga, ze świadomością, że On wszedł w jego życie. Mając katolickie zakorzenienie, postanowił wrócić do Kościoła. Jednak Baker przeżywał dramat wewnętrzny. Wraz z nawróceniem pojawiła się w nim od razu świadomość, że ma powołanie przede wszystkim do życia modlitwy, do życia kontemplacyjnego. Tymczasem wszyscy księża, do których zwracał się w Anglii, to byli ukrywający się konspiratorzy, zwykle o dość wojowniczym usposobieniu, gotowi do życia pośród prześladowań. Byli oni zdania, że należy aktywnie działać i powiększać szeregi konspiratorów. Zaś Baker chciał się po prostu modlić. W końcu udało mu się uzyskać formację benedyktyńską w klasztorze benedyktynów w Padwie, w klasztorze Santa Giustina. W tym włoskim klasztorze, który kiedyś miał ogromne znaczenie w świecie benedyktyńskim, o Baker uzyskał formację, złożył śluby wieczyste; potem w Reims otrzymał święcenia kapłańskie i zaczął swoje życie jako dojrzały benedyktyn. Wkrótce został mianowany jednym z kapelanów klasztoru mniszek benedyktynek w Cambrai, w dzisiejszej północnej Francji.

Jest to jeden z powodów, dla których piśmiennictwo o Bakera pośrednio powraca jako przedmiot badań w ośrodkach intelektualnych na Wyspach Brytyjskich, które nie są w żaden sposób związane z Kościołem katolickim, bowiem Baker wyraźnie uznawał równorzędność mężczyzny i kobiety w rozoznawaniu duchowym. Kiedy Baker przyjechał do klasztoru w Cambrai, miało to miejsce w okresie bezpośrednio po Soborze Trydenckim, gdy jezuita bardzo aktywnie działali. Prowadzili setki lub tysiące mniszek według „Ćwiczeń duchowych”, lecz w samym Cambrai o. Baker obserwował pewne wypaczenia w stosowaniu *Ćwiczeń*. Widział bowiem, że jezuita kierownicy duchowi prowadzili siostry niezwykle drobiazgowo, wręcz na granicy obsesyjnej szczegółowości. Ci kierownicy duchowi zupełnie nie ufali, że mniszki mogą mieć jakiegokolwiek zdolności do oceny nawet najmniejszych zdarzeń z własnego życia. Siostry otrzymywały bardzo szczegółowe wskazówki; w pewnym sensie kierownicy duchowi nie traktowali ich poważnie, sądząc, że siostry właśnie w ten sposób należy prowadzić, gdyż same nie są w stanie sobie poradzić. Baker był zszokowany tym faktem, że człowiek, który został stworzony na obraz i podobieństwo Boże, który otrzymuje Ducha Świętego w sakramentach, nagle miałby być tak kaleki w swoim życiu duchowym, że musi być tak szczegółowo prowadzony w swoim życiu wewnętrznym! W związku z tym Baker uprawiał inny styl kierownictwa duchowego: dawał im o wiele więcej autonomii i uważał, że rola kierownika duchowego polega na obronie przed błędem, a nie na wskazywaniu każdego następnego kroku. Baker był przekonany, że w duszy takiej osoby będzie o wiele więcej owoców, jeżeli poprowadzi ją łaska Boża, a nie wtedy, kiedy kierownik duchowy będzie dawał jej wskazania dotyczące absolutnie wszystkiego. Siostry były bardzo wdzięczne Bakerowi za ten nowy sposób prowadzenia. To one były pierwszymi kompilatorkami jego dzieł i traktatów, których pisał wtedy bardzo dużo.

Baker opuszcza w pewnym momencie Cambrai, m.in. dlatego, że inni kapłani tego klasztoru nie mogą znieść sytuacji, że on cieszy się takim autorytetem wśród sióstr, a ich wpływ jest tym samym mniejszy. Baker trafił w końcu do Douai, w Belgii, gdzie spędzi kolejne lata.

Zbierzmy teraz jeszcze najważniejsze informacje, co właściwie Baker mówi nam o modlitwie. Baker, podobnie jak wielu innych autorów, wyróżnia trzy główne jej etapy. Pierwszy etap, to tzw. modlitwa dyskursywna, rozważanie, medytacja (w starym sensie, czyli *meditatio* jako rozważanie, a nie jako np. znana dzisiaj medytacja chrześcijańska czy medytacja religii dalekiego

Wschodu). Ojciec Baker uważał, że jeśli ktoś zaczyna się brać poważnie za życie duchowe, jest mu na samym początku bardzo trudno z ciszą. Niechętnie spędza czas w milczeniu, w kaplicy. Raczej, jeśli już tam idzie — a ponieważ często jest to po gwałtownym, entuzjastycznym i żarliwym nawróceniu — to ma bardzo dużo do powiedzenia Panu Bogu (w końcu nie widzieli się tyle lat!). Wtedy taka osoba albo bardzo dużo mówi i w sercu mnożą się słowa, albo potrzebuje odbierać jakąś treść, więc sięga w kaplicy po pobożne książki, litanie, rozważania.

Zanim przejdziemy dalej, przypomnę jeszcze ważny element naszej antropologii katolickiej. Przynajmniej od czasów ojców kapadockich mówimy o tym, że człowiek ma dwie podstawowe władze, tzn. rozum i wolę. Na potrzeby naszych rozważań przyjmijmy, że rozum oraz intelekt oznacza to samo, choć można by to jeszcze dookreślać. W każdym razie jest to władza poznawania, rozważania, przechodzenia od przesłanek do wniosków; medytowanie, rozmyślanie. Do tego służy nam intelekt. Oprócz tego mamy wolę, czyli taką naszą władzę, która pozwala nam coś wybierać. Do tej pory przyjmowano, że właśnie tym różnimy się od zwierząt. Zwierzęta mają tylko instynkty, my zaś posiadamy te dwie władze. Jeżeli zwierzę jest głodne i ma przed sobą miskę jedzenia, nie ma siły, która by je powstrzymała przed zjedzeniem. Wyjątkiem może jest sytuacja, kiedy zwierzę musi nakarmić najpierw młode. Zwykliśmy zatem mówić, że od zwierząt różnimy się umiejętnością świadomego wyboru, one zaś mają instynkty. Jeżeli jesteśmy głodni i mamy przed sobą jedzenie, możemy się powstrzymać, bo np. pościmy. To jest moment, w którym używamy woli — to jest władza naszej duszy. I cała nasza tradycja teologiczna jest oparta na tym podziale, że człowiek ma rozum i wolę. Ojcowie kapadoccy mówili, że kiedy czytamy Księgę Rodzaju, gdzie jest napisane, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, do tego stosują się te pojęcia. Obraz jest czymś stałym, a podobieństwo jest czymś zmiennym; obraz jest na stałe w człowieku, a podobnym można być mniej lub bardziej. I tak samo jest z rozumem i wolą. Człowiek, o ile jest zdrowy psychicznie, ma rozum — to coś stałego. Zaś wola może być lepiej lub gorzej zjednoczona z Panem Bogiem — to nasze Boże podobieństwo.

Ojciec Baker opiera się również na powyższym podziale. Pierwszy etap, czyli modlitwa dyskursywna, to etap, w którym używamy przede wszystkim intelektu. Baker mówi, że jest to etap wstępny i dobrze byłoby go przekroczyć i pójść dalej. Według niego dzieje się to w sposób naturalny, bo w pewnym momencie zaczynamy się męczyć wszystkimi książkami, które czytamy i roz-

ważamy. Autor ten mówi, że po etapie modlitwy dyskursywnej przychodzi etap, w którym na pierwszy plan wysuwa się wola. I kiedy będąc w kaplicy, nie możemy już dłużej patrzeć na książki, które walczyliśmy podczas modlitwy, Baker proponuje, aby zacząć wtedy używać swojej woli, i to w taki sposób, aby Pana Boga wybierać świadomie. Jeżeli to pomoże, warto powtarzać wówczas jedno słowo, jedno sformułowanie, które będzie nośnikiem skierowania się ku Panu Bogu. To słowo należy ciągle przywoływać i ponawiać je jako akt wybrania Pana Boga. „Panie Boże, kieruję ku Tobie całe moje serce i modłę się tym słowem” — i powtarzać *Marana tha* lub słowa modlitwy Jezusowej, lub różańca, tak jak robiono to przez setki lat, gdy „Zdrowaś Mario” odmawiano w krótszej wersji.

Baker wie, że taka modlitwa nie jest prosta. To jest moment w życiu duchowym, gdy — szczerze mówiąc — trochę nam się nie chce. Przychodzimy do kaplicy z pewnym rozczarowaniem z powodu tych różnych tekstów, które do tej pory czytaliśmy, opisów tej jakoby niezwykle zażyłości z Bogiem — a tu nagle ktoś każe nam się wewnętrznie mobilizować i wybierać Pana Boga, bez żadnych szczególnych doznań w nagrodę za nasze starania. Czy to nie brzmi nawet sztucznie w pewnym sensie? Jednak Baker bardzo temu ufa. Co więcej, to samo znajdziemy u Chapmana.

Pewna mniszka napisała kiedyś do Chapmana, że ma już wszystkiego serdecznie dość. Nie może dłużej rozważać ani nawet pomyśleć o Męce Pańskiej, nie ma już co czytać, bo wszystko, co w jej klasztorze było, już przeczytała, a w kaplicy czuje samą oschłość, jałowość i pustynię. Krótko mówiąc, znikąd pomocy. Kiedy Chapman jej odpisał, aby robiła akty woli, wówczas mniszka odpowiadała, że wcale nie pragnie Pana Boga — znajduje się w ciemności i Bóg przestał ją w ogóle interesować. Wtedy Chapman napisał do niej uspokajający list, że tak właśnie ma być i jest teraz w miejscu, w którym Pan Bóg ją postawił. Wszystko jest pod kontrolą, a władze, które znajdują się w człowieku, powinny właśnie teraz być bardziej świadomie używane. Jeżeli nie możemy chcieć Pana Boga, to teraz przychodzi nowy moment: „Chciej Go chcieć”, mówi jej Chapman — po to właśnie człowiek ma wolę, aby świadomie wybrać Pana Boga. Kiedy jesteśmy w ciemności, Bóg nas podtrzyma, jeżeli Go nie porzucimy. Chapman pisał często o własnym doświadczeniu, i jego podopieczni też to potwierdzali, że zdarza się na tym etapie pójść do kaplicy i spędzić pół godziny na modlitwie, która wydaje się jałowa; nie dostajemy żadnej wewnętrznej nagrody za to, że tam byliśmy; nie dzieje się nic, jedynie ponawiamy akt wybrania Pana Boga, odsuwamy roz-

proszenia, aby ten akt był podejmowany coraz bardziej świadomie. Ale jednak następnego dnia chcemy do tej kaplicy wrócić. Ten jeden raz nam nie wystarczy. Chapman zauważa, że to jest ten moment, w którym działa łaska Boża. Dlatego modlitwa nie jest dziełem tylko naszych władz, rozumu czy woli — sama wola poddałaby się w tej sytuacji. Modlitwa jest ostatecznie dziełem łaski. Bóg nas musi w niej podtrzymać, a my nie możemy z Niego rezygnować. I tylko wtedy modlitwa postępuje.

Dalej dochodzimy do trzeciego etapu, który pojawia się u wielu autorów. Jest to etap zjednoczenia, etap unii z Bogiem. We wszystkich podręcznikach i u różnych autorów duchowych ten etap jest zawsze najcieńszy. Dlaczego? Złośliwie można by stwierdzić, że pewnie mało kto w ogóle dociera do tego miejsca. Inny powód jest już o wiele bardziej przekonujący: po prostu brakuje słów, aby wyrazić, na czym polega zjednoczenie duszy z Bogiem. Jan od Krzyża, aby poradzić sobie z tym tematem, pisze poezję. Mimo, iż ten teolog posiadał solidne wykształcenie i miał zaufanie do teologii scholastycznej jako wychowanek tomistycznej szkoły w Salamance, nie potrafił znaleźć pojęć w słowniku teologicznym, aby to zjednoczenie wyrazić.

Baker i Chapman zgodnie zauważają, że na tym etapie nie wymuszamy już aktów woli, lecz one płyną same. Nasze władze, rozum i wola, a także emocje, pamięć, wyobraźnia, są zjednoczone z Bogiem. To dzieje się już samorzutnie. Tak jak św. Benedykt mówi w Regule: najpierw przestrzegamy przykazań Bożych, nieco zmuszając się do nich, aż serce nam się rozszerzy i pobiegniemy drogą niewysłowionej miłości (Por. RB Prolog 49). Liczni autorzy mówią nam o tym, że właśnie do tego mamy zmierzać i nadzieję na osiągnięcie takiej zażyłości z Panem możemy mieć, jeśli nasze władze oddamy Mu na służbę i będziemy oczekiwać na Jego łaskę.

Modląc się, mamy wobec tej modlitwy wielkie oczekiwania, jesteśmy związani pewną formą, której kurczowo się trzymamy i którą sobie narzucamy, np. że musimy modlić się przez trzydzieści minut, gdyż w przeciwnym razie nie postąpimy w życiu duchowym. A Pan Bóg próbuje wyjść nam naprzeciw, wkracza i nas wyręcza w tych naszych staraniach.

I to jest właściwy moment, aby powiedzieć, jak Baker zakończył swoje życie. Trzeba uczciwie przyznać, że współbracia Bakera mieli mu parę rzeczy za złe. Mieli mu za złe, że miał tak wielki wpływ na mniszki, które były pod jego kuratelą. Ponadto mieli mu za złe jego styl życia, ponieważ on bardzo szukał ciszy i skupienia, odsuwał się trochę od innych. Miał nawet trudność

ze wspólną Liturgią Godzin. Wiele razy widywano go bez habitu, był jakby nie ze swojej epoki. Natomiast później wszystkie komisje teologiczne powołane przed Kongregację Angielską benedyktynów, stwierdzały za każdym razem ortodoksyjność jego nauczania. Za jego styl życia i ówczesną, niekiedy niewłaściwą interpretację teologiczną jego dzieł, postanowiono dać mu jednak w pewnym sensie nauczkę. Baker został ponownie wysłany do Anglii, do konspiracji, do życia w podziemiu, do konfrontacji z niebezpieczeństwem śmierci każdego dnia. Tego człowieka, który tak gorliwie szukał ciszy i został benedyktynem, ponieważ nie chciał być duszpasterzem w Anglii, na koniec życia wysłano jednak tam, aby podjął duszpasterstwo. Baker musiał każdej nocy zmieniać miejsce zamieszkania. Nie mógł zostać w żadnym miejscu dłużej niż dobę, ponieważ wiele osób donosiło na ludzi takich jak on, a potem czekała ich już tylko egzekucja i niesprawiedliwy sąd.

Ale wszyscy, którzy w tamtym czasie mieli styczność z Bakerem, zauważali jedno: zaraz po przyjeździe do Anglii, przestało mu przeszkadzać to, co było dookoła niego. Ciągłe przenosiny, konspiracja, nieustanne napięcie i stres, niebezpieczeństwo śmierci — to nie robiło już na nim wrażenia. I nie dlatego, że miał sześćdziesiąt lat, lecz dlatego, że prawdopodobnie sam doświadczył tego, o czym pisał — czyli przeszedł do kolejnego etapu modlitwy, gdy wszystko dzieje się samorzutnie i jest się zjednoczonym z Bogiem w swoim sercu. Ostatnie świadectwa o życiu Bakera odnoszą się do dni, kiedy zapadł na szalejącą w tamtym okresie w Londynie dżumę. To choroba bardzo dotkliwa i bolesna, lecz według relacji uczniów Bakera, pozostawał on stale zjednoczony z Bogiem, przyjmując chętnie to, co go spotyka. Baker najprawdopodobniej sam na sobie doświadczył, co to znaczy być zjednoczonym z Bogiem na modlitwie. I tak jego życie dobiegło końca. Poza klasztorem, jednocześnie w wierności swoim przełożonym, i przede wszystkim w wierności temu, co w życiu najbardziej umiłował, czyli w wierności do Pana Boga.

W ten sposób chciałem przybliżyć postać Augustyna Bakera. A w Wydawnictwie Tynieckim trwają jeszcze prace nad książką „Święta mądrość”, która jest skrótem z czterdziestu traktatów napisanych przez Bakera. Baker napisał ponad milion słów o modlitwie, i z tego, co wiadomo z historii Kongregacji Angielskiej, był tylko jeden benedyktyn, który to wszystko przeczytał! Natomiast pokolenia benedyktynów wykształciły się właśnie na podręczniku „Święta mądrość”. I do tej pory jeszcze uczą się adeptów benedyktyńskich jego metody modlitwy. Bakera spotkamy także we wspomnieniach Johna

Maina, który zapoczątkował ruch medytacji chrześcijańskiej, ponieważ i on pisał o tym, że warto modlić się krótką formułą, krótkim słowem, co dodało Mainowi śmiałości w nauczaniu medytacji chrześcijańskiej.

Jaki więc wniosek na koniec? Czy istnieje jedna metoda benedyktyńskiej modlitwy? Nic nam o tym nie wiadomo. Wiemy tylko, że od XVII w. w Anglii konsekwentnie pewnej metody nauczano i przyniosła ona wiele owoców. Warto zatem poznawać postać Augustyna Bakera (i Johna Chapmana) oraz czerpać z jego mądrości w poszukiwaniu bliskości Boga.

*Z nagrania spisała Agnieszka Kamińska, Warszawa*

*Redagował i autoryzował br. Grzegorz Hanryleczko OSB*

**REKOLEKCJE ADWENTOWE OBLATÓW  
W TYŃCU 2019 R.  
„KRÓLESTWO SERCA”  
O. OPAT SZYMON HIŻYCKI  
KONFERENCJA 1**

Warto czytać *Regulę* św. Benedykta, warto wracać do jej Prologu. Prolog wychowuje nas i zachęca do budowania bardzo osobistej więzi z Bogiem, relacji ja i Bóg, bardzo osobistej i bardzo intymnej.

Przykładem może tu być dzisiejsze przypomnienie św. Anny, matki proroka Samuela, samotnej, walczącej kobiety, która w tym swoim totalnie zdewastowanym świecie potrafiła wzbudzić w sobie delikatną, intymną więź z Bogiem. Życie jej nie było uslane różami, ale podjęła trud rozpoznania w swoim sercu relacji z Panem Bogiem i ją właśnie możemy postrzegać jako osobę, która idzie za wskazaniem Prologu *Reguły* św. Benedykta, i o której można powiedzieć, że jest prototypem oblata.

Od września zajmujemy się *Regulą*. Zaczęliśmy ją czytać od pierwszych zdań Prologu, dzisiaj zajmujemy się dwoma końcowymi zdaniem, wierszami 49 i 50. Nim się tym zajmiemy, najpierw rodzaj przypisu.

Przekaz Grzegorza Wielkiego o św. Benedykcie, umieszczony w Drugiej Księdze, przy uważnej lekturze sprawia niedosyt, opis wydaje się jednostronny. Benedykt jest chropowaty, jakby kulawy w sytuacjach skrajnych i dopiero, gdy pojawia się jego siostra Scholastyka, w 34. rozdziale Drugiej Księgi, następuje dopelnienie kreślonego obrazu i wtedy Benedykt uzyskuje pełniejszy wyraz.

Św. Scholastyka pojawia się w spotkaniu z Bratem tuż przed śmiercią, po której ulatuje jako gołębica do nieba. Można powiedzieć, że jest to cud przyrody. Scholastyka z pochyloną twarzą zaczyna płakać i modlić się, wtedy wszystko wokół, cała przyroda się zmienia i zaczyna padać deszcz. Benedykt zmuszony jest do pozostania u niej, by kontynuować rozmowę. Po jego odejściu św. Scholastyka ulatuje w postaci gołębicy, co pokazuje jej związek z Osobą Ducha Świętego. Z tej świętej kobiety świętość wylewa się na zewnątrz i kształtuje otoczenie.

Potem mamy cud św. Benedykta, cud światła, kontemplację całego świata, z jednej strony mroczność, deszcz, chmury a z drugiej światło. W promieniu światła widzi cały świat, w który wchodzi i go porządkuje.

W przypadku Scholastyki dostrzegamy głównie miłość, a u Benedykta mądrość. Nasi ojcowie i matki doskonale tę dwoistość rozumieli i nie rozdzielali świętego rodzeństwa. My często je rozdzielamy, bo zapominamy o św. Scholastyce. Jedna i druga postać, miłość i mądrość, dają dopiero razem benedyktyńskiego ducha. Także ich imiona są znaczące. Św. Benedykt to błogosławiony, odniesiony do ośmiu błogosławieństw, a Scholastyka – uczennica, uczy się, bo kocha aż do śmierci, do odlotu gołębicy.

Jak przyzywamy orędownictwo św. Benedykta, pamiętajmy też o św. Scholastyce, by dała nam trochę słodyczy, miękkości i empatii wobec tego świata, jaki jest.

Zapowiedziane na wstępie dwa wiersze Prologu to swoiste streszczenie tego, o czym będziemy mówić w trzech następnych konferencjach:

Gdy będziesz postępował naprzód w życiu wspólnym i w wierze, serce ci się rozszerzy i pobiegiesz drogą przykazań Bożych z niewysłowioną słodyczą miłości. Tak nie odstępując nigdy od nauki Pana, w Jego prawdzie wytrwajmy w klasztorze aż do śmierci, abyśmy przez cierpliwość stali się uczestnikami Męki Chrystusowej i zasłużyli na udział w Jego Królestwie (Reg Prolog 40–50).

Naszym rekolekcjom daliśmy tytuł „Królestwo serca”. O jakim sercu tu mówimy, nie trzeba przypominać. To wiemy. Nie chodzi tu o to serce z ciała. To przywoływane serce, to jedno z podstawowych pojęć duchowości chrześcijańskiej, wielokrotnie omawiane.

Celem tych rekolekcji jest przedstawienie sposobów, które pomogą nam o to nasze serce się zatroszczyć.

Z powodów zawodowych czytam literaturę tzw. duchową, której jest dużo. Są to teksty różne, często bardzo dobre, zawierające głębię i bogactwo; warto się nimi inspirować i dobrze, że one powstają, ale trafiają się też plewy albo kąkol wśród zboża, nie jest tego dużo, ale warto się na to uwrażliwić. Nie jest dobrze, gdy autor próbuje w swoich tekstach generować u czytelnika poczucie winy, że czegoś nie przeżywa albo nie przeżywa dostatecznie głęboko. Jak natkniesz się na taki tekst, to lepiej go nie analizować, szkoda czasu. Naszym zadaniem jest „postępowanie naprzód w życiu wspólnym i wierze” oraz szukanie narzędzi, by „serce się rozszerzało i byśmy biegli drogą przykazań Bożych”.

W wieku przedszkolnym jeździłem z ojcem i bratem do naszej rodziny na północy. To była duża rodzina, na 70 hektarach ziemi hodowali zboże, do dzisiaj z tego żyją, ale mnie to niewiele interesowało. Z tymi wyjazdami kojarzy mi się niesamowite doświadczenie. Ojciec zabrał nas do Malborka. Pobyt w zamku krzyżackim to było dla mnie miazdzące doświadczenie. Wcześniej widziałem Kraków z Wawelem, ale Malbork mnie zaczarował. Najciekawsza była zbrojownia z rycerskimi pawężami, lukami dwa razy większymi ode mnie i mieczami mojego wzrostu. Wszystko to było dla mnie jak zaczarowany ogród. Smuciło mnie tylko to, że tego nie można było dotknąć, bo wszystko było za szybą.

Jak wracam do tamtego doświadczenia, to przypomina mi się czwarty rozdział *Reguły*, w którym są opisane narzędzia do oczyszczania serca, rozszerzania go, sprawiania by było ono rzeczywiście dla Boga, by *Reguła* została bardzo osobistym przyjacielem, taką powiernicą, by była czytany tekst zaraz obok Pisma Świętego, by z tym tekstem bez przerwy dialogować, zadawać pytania, ale i dopisywać swoje uwagi.

Dzisiaj mówiliśmy już, jak dobrze przeżyć nowicjat, to takie nasze „dopisanie” do *Reguły*. Kolejnym może być: jak przeżyć Adwent?

Analizowane dwa wiersze z Prologu chciałbym, by były takim impulsem do zastanowienia się w kolejnych konferencjach, w jaki sposób oblat powinien praktykować to, do czego zobowiązuje go *Reguła*, czyli posłuszeństwo, obyczaje monastyczne i stałość. I chciałbym, by te dwa wiersze były fundamentem do tych rozważań.

Cytowane pierwsze zdanie jest implikacją po przeczytaniu słów: „gdym będziesz postępował naprzód w życiu wspólnym i w wierze”, następuje bardzo pocieszający następnik: „**serce ci się rozszerzy**”.

A serce nasze na ogół jest malutkie, jakby w stanie przedzawałowym i z takim sercem zaczynamy bieg, czyli poważne traktowanie naszych relacji z Panem Bogiem. Ale to malutkie serce to nie jest zła diagnoza. Po to człowiek zostaje mnichem, po to zostaje oblatem, żeby iść naprzód w życiu wspólnym i wierze, by serce mu się rozszerzyło. Zostajemy mnichami, oblatami, bo mamy problemy, czasem nieuświadomione, ale przychodzimy do klasztoru po to, aby nasze serce rosło.

Jutro wspominamy św. Jana od Krzyża. W jednym z podstawowych swoich tekstów „Pieśń duchowa” opisuje szczyty mistycznego życia z Bogiem. Ale jak się to zaczyna? Punktem wyjścia jest opis duszy, która stoi u progu potępienia, opis człowieka, który stoi u progu piekła. Jan mówi o tym, że zmarnował życie, że dużo zła uczynił, że trudno się zbawić, że czas płynie, że ciężka jest pokuta, że nic nie zrobił ze swoim życiem, które przelewa się między palcami... To jest właśnie punkt wyjścia człowieka z małym sercem, który woła do Boga: daj znak, gdzie się ukryłeś?

Analogicznie jest u Benedykta kierującego słowa Prologu do swojego ucznia. Na początku twoje serce jest malutkie, nie obsługuje tego wszystkiego, co powinno, ale dobre i to, od tego trzeba zacząć.

W tym momencie może pojawić się niebezpieczeństwo w postaci wybujałych wymagań, jakie sobie na początku drogi postawimy. To nie chodzi o to, by być minimalistą i nic od siebie nie wymagać, ale chodzi o to, by program życia duchowego, które przed sobą kreśliśmy, miał ręce i nogi, miał sens.

Wiemy przecież, trzymając się metafory serca, że jak człowiek idzie na leczenie kardiologiczne, to nikt nie będzie oczekiwał od zawałowca, by biegł w maratonie, bo to go zabije. Analogicznie, kiedy zaczynamy realizować program życia duchowego, musimy postępować w taki sposób, by to nam pomagało a nie zabijało. Wystrzegać się trzeba pokusy wybujałych wymagań. Każ-

dy stan ma swoje pokusy. Pokusą mnicha może być chęć zeświecczenia, czyli rezygnacja z pewnych nawyków, obyczajów życia monastycznego. Podobnie dużą pokusą dla każdego oblata może być chęć zostania mnichem. Oblat to nie mnich, tak jak mnich nie jest oblatem, a do klasztoru przychodzą jedni i drudzy po to, by im serce się rozszerzyło. Bądź tym, kim jesteś – mężem, ojcem, matką, żoną. Klasztor nie może być konkurencją dla twojego życia rodzinnego. Jeśli bycie oblatem osłabia życie rodzinne, to jest to znak, że coś nie gra. Stawianie pytania kogo Kocham bardziej: Boga czy żonę obraża Pana Boga.

Tak więc jak człowiek po zawale zaczyna bieg, to na początku jest to spacer, potem trucht, w końcu może i sprint. W każdym z tych przypadków serce zacznie się rozszerzać.

Jakie są dwie podstawowe praktyki by serce się rozszerzało? Odpowiedź Benedykta jest następująca: „postępuj naprzód w życiu wspólnym i wierze”. Dwie płaszczyzny życia nierozzerwalnie ze sobą związane – życie wspólne i wiara. Ja miałem tu z tym sformulowaniem problem: dlaczego najpierw życie wspólne, a potem wiara?

Człowiek trwa na tej ziemi od początku we wspólnocie, rodzinie, małżeństwie, parafii, społeczeństwie, narodzie. Jeśli ktoś jest aspołeczny, odizolowany, to on w żadnej wspólnocie się nie ostoja ani w klasztorze, ani w rodzinie. Oczywiście życie wspólne każdy przeżywa na swój sposób. Jednak zawsze oparte jest ono na szacunku i uznaniu inności drugiego człowieka. Jeśli czytamy uważnie *Regulę*, to widzimy, że jest ona prawie w całości opisem życia wspólnotowego.

Jeden z braci mówił, że w klasztorze musimy żyć z ludźmi, z którymi w życiu świeckim nie jeździlibyśmy nawet jednym tramwajem. Życie wspólne nie zakłada sielanki, bez troski, wręcz przeciwnie to świadomy wybór i akceptacja każdego, który się tu znalazł.

Może zastanówmy się w rachunku sumienia, czy życie obłackie pomaga nam w życiu wspólnym, małżeńskim, rodzinnym. Osądzając innych pamiętajmy też o konsekwencjach Wcielenia, wszystko co ludzkie, może mieć wymiar Boski.

Drugim ogniwem w tym nierozzerwalnym łańcuchu, o którym mówi św. Benedykt „by serce się rozszerzało”, jest wiara. Często dzisiaj niestety jest on rozerwany. To rozerwanie może mieć np. taką postać. Ktoś stwierdza, że nie

będzie chodził do kościoła, nie będzie przystępował do sakramentów, bo nie chce się kontaktować z księżmi, którzy kradną. Widomo, że byli, są i będą księża złodzieje, ale z tego nic nie wynika (poza refleksją nad kondycją człowieka). Człowiek, który tak mówi, przeżywa życie wspólnotowe bez wiary. Gdyby miał wiarę, dostrzegłby, że Kościół taki nie jest (nie składa się z księży złodziei, więcej nie składa się tylko z księży). Podobna logika jest w rozumowaniu: jeśli jedna kasjerka oszuka mnie na poczcie, to nie będę korzystał z poczty. Nikt nie powinien kraść, ale tak jest, że ludzie kradną, a nasza wiara pozwala wyciągnąć właściwe wnioski jak żyć. Dzięki wierze można np. wytrwać w klasztorze, gdy spotykamy się z głupotą czy małostkowością współbrata, bo ona mówi nam, że on się może nawrócić. Ile razy można pokonać kryzys małżeński tylko dlatego, że ma się wiarę w moc rozmowy, przebaczenia, dogadania.

Mimo wskazywania w *Regule* na tę nierozzerwalność życia wspólnego i wiary mamy także tendencje, żeby uciekać tylko w jedno bądź tylko w drugie. Są pokusy ciała, ale są też pokusy ducha – jedno i drugie jest chore. Królewska droga wiedzie pośrodku, człowiek idzie drogą ducha i ciała, jesteśmy bytem cielesno-duchowym.

Do biegu potrzebne są dwie nogi: wiara i życie wspólnotowe. Św. Benedykt mówi, że taki bieg drogą przykazań Bożych cechuje słodycz miłości, bardzo specyficznej, bo biorącej się z dojrzałego świadomego wyboru dokonanego w świetle wiary.

To nie przypadek, że zaczęliśmy te rekolekcje w dzień Świętej od światła, św. Łucji.

A jutro mamy święto wspomnianego już doktora mroku, Jana od Krzyża, który mówił bardzo dużo o nocy, o mroku, mówił, że jedynym światłem na tym świecie jest wiara i pragnienie Boga. Jan i Benedykt to jak bliźnięta, oni zrozumieli się od razu.

Św. Benedykt wskazuje na podstawowe środki, by w życiu wspólnotowym i wierze wytrwać. Mówiliśmy o tym we wrześnieu rozpoczynając przygodę z *Regulą* – nie odstępować od nauki Pana, czytać Ewangelię, praktykować *lectio divina*, ale także czytać Prolog i całą jego *Regulę*.

Wiara ma charakter wspólnotowy. To nie jest tak, że siadamy i w samotności wymyślamy sobie, w co będziemy wierzyć. Nasza wiara oparta jest na Objawieniu i jego interpretacji, nad którą pracowały całe pokolenia. Ludzie ma-

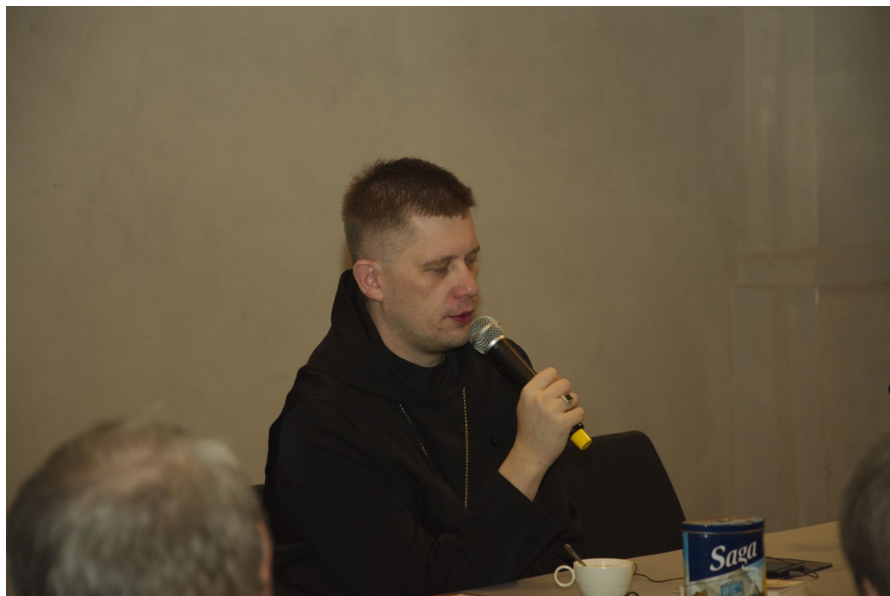
drzy przez prawie dwa tysiące lat pisali teksty dogmatyczne, które były zatwierdzane na soborach. Tych myślicieli wyzywano od heretyków, narażali własne życie, przeciwstawiali się ludziom trzymającym władzę, często za bardzo wysoką cenę. Jednym z nich był św. Maksym Wyznawca, który bronił dogmatu o Wcieleniu. Został oślepiiony, by nie mógł czytać, odcięto mu język, by nie mógł mówić, odcięto mu prawą dłoń, by już nic nigdy nie mógł napisać w obronie wiary. Zbliża się Boże Narodzenie. Wspomnijmy w tym okresie o tym Świętym.

**Jesteśmy karłami, którzy siedzą na barkach olbrzymów** i wracamy do początków. Ruszamy w drogę, jak ci ludzie po zawale, powolotku, by nasze serca zostały uleczone, ale we wspólnocie, pomagając sobie nawzajem. Na tę drogę dostajemy od św. Benedykta proste i skuteczne narzędzia: posłuszeństwo, obyczaje monastyczne i stałość.

Podczas następnych spotkań omówimy te narzędzia.

*Zanotował Wiesław Nagórko, Łodygowice*

*Autoryzował o. Szymon Hiżycki OSB*



We wstępie o. Szymon przypomniał, że *lectio divina* ma być praktyką, dzięki której Piśmo Święte rzuca światło na nasze życie. Przeczytany tekst ma pozostawać z nami w ciągu dnia, mamy go przemyśleć i zderzyć go z własnym życiem. Jako oblaci św. Benedykta, żeby uświadomić sobie swoją tożsamość, powinniśmy szukać w Piśmie Świętym sensu ofiarowania – *oblatio*.

Ojciec wskazał większy fragment – trzy pierwsze rozdziały 1. Księgi Samuela. Prorok Samuel w pewnym sensie też był oblaniem. Mamy w tym człowieku zobaczyć „prototyp” oblata benedyktyńskiego, którego jesteśmy potomkami. Samuel był pełen sprzeczności. Bardzo kochał króla Saula, w którym na pierwszy rzut oka zobaczył króla, a jak zobaczył Dawida, przez gardło nie mogło mu przejść, że zostanie królem. To co się stało z Saulem, było największym dramatem Samuela. Część tego tekstu (Pewien Sufita z Rama, Elkana, ma dwie żony: jedną, którą miluje i drugą, którą miluje trochę mniej i jedna ma dzieci, a druga nie) przeczytano wspólnie podczas pierwszego spotkania rekolekcyjnego i komentarz znajduje się poniżej. †

## **SAMUEL I ANNA** **(1 SM 1,9–28)**

Gdy w Szilo skończono jeść i pić, Anna wstała. A kapłan Heli siedział na krześle przed bramą przybytku Pańskiego. <sup>10</sup> Ona zaś smutna na duszy zanosila do Pana modlitwy i plakała rzewnie. <sup>11</sup> Złożyła również ślub, mówiąc: «Panie Zastępów! Jeżeli laskawie wejrzysz na poniżenie służebnicy twojej i wspomniesz na mnie, i nie zapomnisz służebnicy twojej, i dasz mi potomka płci męskiej, to oddam go Panu po wszystkie dni jego życia, a brzytwa nie dotknie jego głowy.» <sup>12</sup> Gdy tak żarliwie się modliła przed obliczem Pana, Heli przyglądał się jej ustom. <sup>13</sup> Anna zaś mówiła tylko w głębi swego serca, poruszała wargami, lecz głosu nie było slychać. Heli sądził, że była pijana. <sup>14</sup> Heli odezwał się do niej: «Dokąd będziesz pijana? Wyrzęzwiej od wina!» <sup>15</sup> Anna odrzekła: «Nie, panie mój. Jestem nieszczęśliwą kobietą, a nie upiłam się ani winem ani sycerą. Wylałam duszę moją przed Panem. <sup>16</sup> Nie uważaj swej służebnicy za córkę Beliala, gdyż z nadmiaru zmartwienia i boleści duszy mówiłam cały czas». <sup>17</sup> Heli odpowiedział: «Idź w pokoju, a Bóg Izraela niech spełni prośbę, jaką do Niego zaniósłaś». <sup>18</sup> Odpowiedziała: «Obyś darzył życzliwością swoją służebnicę!» I odeszła ta kobieta: ja-

dła i nie miała już twarzy tak [smutnej] jak przedtem. <sup>19</sup> Wstali o zaraniu i oddawszy pokłon Panu, wrócili i udali się do domu swego w Rama. Elkana zbliżył się do swojej żony, Anny, a Pan wspomniał na nią. <sup>20</sup> Anna poczęła i po upływie dni urodziła syna i nazwała go imieniem Samuel, ponieważ [powiedziała]: Wyprosiłam go u Pana (imię Samuel jest od czasownika prosić).

<sup>21</sup> Gdy ów mąż, Elkana, udał się z całą rodziną, by złożyć Panu doroczną ofiarę i wypełnić swój ślub, <sup>22</sup> Anna zaś nie poszła, lecz oświadczyła swemu mężowi: «Gdy chłopiec będzie odstawiony od piersi, zaprowadzę go, żeby się pokazał przed Panem i aby tam pozostał na zawsze». <sup>23</sup> Odpowiedział jej Elkana, mąż jej: «Czyn, co ci się wydaje słuszne. Pozostań, dopóki go nie odstawisz od piersi. Oby tylko Pan ziścił swe słowo». Pozostała więc kobieta w domu i karmiła syna swego aż do odstawienia go od piersi. <sup>24</sup> Gdy go odstawiała, wzięła go z sobą w drogę, zabierając również trzy cielce, jedną efę mąki i bukłak wina. Przyprowadziła go do domu Pana, do Szilo. Chłopiec był jeszcze mały. <sup>25</sup> Zabili cielce i poprowadzili chłopca przed Helego. <sup>26</sup> Powiedziała ona wówczas: «Pozwól, panie mój! Na twoje życie! To ja jestem ową kobietą, która stała tu przed tobą i modliła się do Pana. <sup>27</sup> O tego chłopca się modliłam, i spełnił Pan prośbę, którą do Niego zanosłam. <sup>28</sup> Oto ja oddaję go Panu. Po wszystkie dni, jak długo będzie żył, zostaje oddany Panu». I oddali tam pokłon Panu.

Potem następuje kanyk, historia rodziny Helego i powołanie Samuela czy też słyszenie Boga w Świątyni. Bóg zazwyczaj mówi, rzadko się pokazuje.

Ten przeczytany fragment może wydawać się trochę zaskakujący jako paradygmat życia oblackiego. To, co jest najważniejsze, z czego na samym początku jako oblaci powinniśmy sobie zdawać sprawę to to, że ofiarowanie nigdy nie jest wydarzeniem prostym, w tym sensie, że nie jest to jedynie nasza decyzja.

W przypadku Samuela cała sytuacja była dość skomplikowana. Na samym początku konflikt rodzinny, czyli Elkana i jego dwie żony. Jedna, która dokuca tej bezpłodnej. W tym wszystkim Elkana, który nie potrafi się odnaleźć, kiedy pyta: *Czyż ja nie znaczę dla ciebie więcej niż dziesięciu synów?* – empatia na miarę stogu siana. Kobieta cierpi, bo nie ma dziecka, a on uważa, że przecież ma jego. Nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego ta kobieta cierpi.

Z drugiej strony mamy ogromną wiarę Anny. Ona jako bezpłodna uważana była w Izraelu za tę, która utraciła Bożą łaskę. W całej jej modlitwie nie ma

ślądu takiego myślenia. Ona raczej ten problem, jaki ma, postrzega jako wezwanie do tego, żeby uwierzyć bardziej. Czyli to, że nie ma czegoś, czego bardzo pragnie, jest dla niej wezwaniem do tego, żeby powierzyć się Bogu jeszcze mocniej.

I to jest pierwsza rzecz – mamy zobaczyć całą wcześniejszą historię naszego życia. Zrobić rachunek sumienia czyli popatrzeć z Bogiem na cały ten okres naszego życia. Jak to się stało, że do Tyńca przyjechaliśmy, weszliśmy w kontakt ze wspólnotą i potem ostatecznie zdecydowaliśmy się prosić o obłację. Może nasza historia nie będzie aż tak dramatyczna jak matka Samuela, ale warto docenić tych wszystkich ludzi, zobaczyć ich wiarę, ich trud, ich modlitwę, która doprowadziła nas do tego, że w pewnym momencie naszego życia staliśmy się gotowi poświęcić się Panu Bogu.

W życiu Samuela widać ten rys przez cały czas. To, co było powiedziane na samym początku – bardziej kochał Saula, ale ostatecznie musiał proklamować Dawida. Ta sytuacja wymagała od niego wielkiej wiary, wyrzeczenia się własnych upodobań i posłuchania głosu Pana Boga i postanowił to zrobić dokładnie tak jak jego matka. Warto popatrzeć na nasze dziedzictwo, z czego wyszliśmy, a czas rekolekcji jest dobrym czasem, żeby za to podziękować.

To ćwiczenie wydaje się banalne, bo słyszymy o tym cały czas. Ale podobnie jak *lectio* to nie ma być jednorazowe wydarzenie, tylko to ma być sposób patrzenia na życie, że nie narodziliśmy się w próżni, tylko przed nami był jakiś szereg ludzi – z naszych rodzin, wychowawców, którzy przygotowali nam świat, w którym żyjemy. Poczucie wspólnoty, która sięga wiele dalej poza śmierć, poza czas, w którym jesteśmy świadomi, bardzo nas uwalnia, bo to oznacza, że nie wszystko złożone jest na naszych barkach, tylko idziemy w długim szeregu pokoleń ludzi, którzy wierzą i nawzajem się w tym wspierają.

Jest średniowieczny tekst z XII wieku pochodzący od Teodoryka z Chartres. Należał on do szkoły teologiczno-filozoficznej, gdzie zajmowano się też filozofią przyrody. Teodoryk podsumowując dziedzictwo szkoły, która odwoływała się do Platona i neoplatoników, powiedział do swoich uczniów znamienne słowa (mówił o sobie i swoich uczniach): „Jesteśmy karłami, które siedzą na barana u olbrzymów. Jeśli widzimy dalej niż oni, to tylko dlatego, że oni dźwigają nas na plecach, podnoszą nas o całą swoją gigantyczną wielkość”. Nie chodzi o to, że Teodoryk był mizerny, bo był wielkim myślicielem, ale chodzi o samo myślenie, że myślimy, modlimy się, jesteśmy obla-

mi, bo ileś pokoleń stoi za nami. I warto to zobaczyć. Nie byłoby Samuela gdyby nie wiara Anny.

Anna skromna, chowa się z tyłu, znika w drugim rozdziale. Znika, zrobiła swoje i Pismo Święte jakby się nią nie interesuje. Ale myśl jest inna – ona zeszła ze sceny nie żeby zniknąć, tylko ona chowa się w Bogu. Bohater biblijny gdy znika nam z oczu, chowa się w Bogu; czy apostołowie, którzy odchodzą z wiecznika czy Henoch, który odchodzi w Księdze Rodzaju – chowają się w Panu Bogu. Swoje zadanie wypełnili i mogą poświęcić się Panu Bogu.

Tekst Anny, który czytamy w drugim rozdziale 1. Księgi Samuela jest hymnem człowieka zbawionego. Mówimy, że ikony pokazują ludzi zbawionych, przebóstwionych. Ten tekst jest ikoną biblijną; pokazuje kobietę, która przez swoją wiarę dostąpiła absolutnego zjednoczenia z Panem Bogiem, jest inspiracją do Magnificat, używany jest w liturgii podczas uroczystości Wniebowzięcia.

Mamy pierwsze ćwiczenie – zobaczyć całą plejadę ludzi, którzy przygotowali nas do tego, żebyśmy byli w stanie ofiarować się Panu Bogu.

Z drugiej strony jako oblaci przyszliśmy tutaj do konkretnej wspólnoty i czytając historię Anny warto popatrzeć na tę wspólnotę, do której myśmy przyszli. Czyli na tych wszystkich ludzi, którzy byli tu przed nami, w jaki sposób z tym klasztorem byli związani chociaż nie byli mnichami, ale z dokumentów, które posiadamy wiemy, że tacy ludzie byli od samego początku. Pamięć tej wspólnoty, do której należycie sięga lat 40-tych ubiegłego wieku, ale ona ma historię o wiele dłuższą, prawie tysiącletnią. I w pewnym sensie pojawienie się takiej wspólnoty jest rzeczą naturalną, że przy klasztorze są pobożni świeccy ludzie, którzy chcą żyć charyzmatem *Reguły* poza klasztorem. I to warto docenić.

Po trzecie – mamy teraz rok jubileuszowy – 975 lat od momentu ufundowania klasztoru, osiemdziesiąty rok od powrotu. Jest to czas, żeby popatrzeć na wspólnotę mnichów, która tu żyła przez prawie tysiąc lat. Nie tylko na tych, których pamiętamy, ale na całe pokolenia w większości anonimowe, bo o naszej wspólnocie wczesnośredniowiecznej wiemy bardzo niewiele. Niedawno, kiedy prowadziliśmy wykopaliska przy absydzie kościoła (trzeba osuszyć fundamenty, bo cała ściana wilgnie), to w niewielkim wykopie znaleźliśmy 16 szkieletów, bo tam jest cmentarz. Pani archeolog oceniła, że najmłodszy jest z połowy XV, a najstarszy z XI wieku. Nie zostawili śladu, ale klasztor trwał przez to, że oni oddawali swoje życie Panu Bogu.

Pierwsza rzecz, której ten tekst nas uczy, to zobaczenie wspólnoty, z której wyrastamy. Nasza ofiara, nasza obłacja nie byłaby możliwa gdyby nie pokolenia, które nas poprzedziły. W tak bliskim nam języku teologicznym nosi to miano tradycji. Łacińskie słowo *traditio* pochodzi od czasownika oznaczającego „przekazywać”. Czyli my biegniemy w sztafecie pokoleń i młodszym, którzy po nas przychodzą, mamy przekazać pewne dziedzictwo, młodszym obłatom powołaniem, stażem.

Tak naprawdę takie myślenie nas rozbraja w tym sensie, że może nas uczynić ludźmi pokoju. Tak jak człowiekiem pokoju był św. Benedykt. Naturalną tendencją człowieka jest chwalenie własnego ogona, albo popieranie swojej opcji politycznej. Czyli ci są dobrzy, ci są źli, o tych trzeba zapomnieć, a myślenie tradycyjne jest całkiem inne, bo bierze w rękę wszystko i nie wybiera tego, co najlepsze bez niszczenia kogokolwiek. Tak jak w genealogii Jezusa są dobrzy i źli. Oni są w genealogii Pana Jezusa, w tradycji, która przygotowała Jego przyjście.

Św. Benedykt jak redagował swoją *Regulę* (rzadko się o tym myśli), to żył w okresie wielkiego konfliktu monastycznego. Zachód powoli przyswajał sobie te ideały, które wypracował Wschód. I była awantura dzika pomiędzy tymi mnichami, którzy szli za Janem Kasjanem a tymi, którzy szli za św. Marcinem z Tours. Jak się czyta w źródłach, to ci ludzie się wzajemnie nienawidzili. Jak Kasjan pisze o mnichach Marcina, to wióry z nich lecą. Benedykt potrafił stanąć ponad tym, bo mnichom kazał czytać Kasjana, a jak przyszedł na Monte Casino, to zbudował kaplicę Marcina. Od jednego i od drugiego wziął co dobre. Myślał w taki sposób, że nie spadł z nieba, był tym, co stał na barkach olbrzyma i od jednego i drugiego potrafił wziąć to co dobre. Tego nas uczy pierwszy rozdział z 1. Księgi Samuela. To jest wątek ludzki czyli docenienie ludzi, którzy nas poprzedzili.

Drugim wątkiem jest szczególny stosunek do Pana Boga, który uzdalnia człowieka do tego, żeby się ofiarował. Mówiliśmy o Samuelu jako wzorcu obłata, ale jego ofiarowanie nie nastąpiłoby gdyby nie to, że Anna w całej swojej biedzie i rozpacz, w osamotnieniu nawet rodzinnym, bo Elkana nie rozumiał żony, był od niej daleki, staje przed Arką i ofiarowuje się Bogu. Tę modlitwę Anny warto przeczytać, kiedy pozostaniecie sam na sam z Pismem Świętym i porównać tę modlitwę, w której modliła się o potomka z kantykiem z drugiego rozdziału. Dwie modlitwy tej samej kobiety. Zobaczycy, jaka następuje przemiana, jaką ona drogę przeszła przez to, że dokonała ofiarowania swojego życia.

Ta modlitwa Anny o Samuela to taki „kopciuszek”. Wszyscy czytamy drugi rozdział i jej hymn. Zapominamy o tej modlitwie, kiedy ona Panu Bogu rzeczywiście poświęca swoje życie. Jak czytamy uważnie ten tekst, to jest zaskakujące, bo ona do dania Panu Bogu nie ma nic. Ona może dać tylko siebie, swoją biedę, to że jest bezdzietna, że w rodzinie nie najlepiej. Wspólnota rodowa wtedy była ważna, a ona jest wykluczona z niej jako bezpłodna. Nie ma nic do dania. W związku z tym oddaje wszystko – siebie i syna, który będzie jej dany.

Nad tym tekstem warto się zatrzymać, żeby zrobić sobie rachunek sumienia z naszej modlitwy. Ten akt obłajki, którego dokonaliśmy to nie jest akt jednorazowy, podobnie jak czytanie Pisma Świętego nie jest rzeczą jednorazową. Składanie ślubów nie jest rzeczą jednorazową. Przez to, że składamy śluby monastyczne, oddajemy się Panu Bogu na każdy dzień. Przystąpienie do aktu obłajki to jest pierwszy raz. Potem każdego dnia, przy każdej decyzji, w każdym konflikcie, modlitwie, pytaniu, szukaniu ... ten akt powinien być ponawiany. Tak jak dzisiejsza Antyfona jedna z najpiękniejszych, które zachował łaciński brewiarz, o św. Łucji: „Oto co uczyniłam sługa pokorna, wszystko oddałam na ofiarę Bogu Żywemu, a kiedy nic mi już nie pozostało, siebie samą złożyłam w ofierze.”

To wszystko prowadzi nas znowu jak bumerang do opisu z *Reguły*, który robi niedwuznaczną aluzję do tego, że akt obłajki następuje w momencie Ofiary Eucharystycznej. Sami składacie przyrzeczenia w czasie Ofiary Eucharystycznej, właśnie przed ofiarowaniem, składając swoje życie razem z Życiem Chrystusa na ołtarzu Pańskim.

Słowo ofiara kojarzy się nam z jakimś cierpieniem. Tak możemy o tym myśleć, ale pamiętajmy ostatecznie, że ofiara, jak mówi stary Augustyn z Hippo, oznacza przywrócenie wspólnoty. W „Traktacie o państwie Bożym” Augustyn na kilkudziesięciu stronach analizuje różne ofiary ze Starego Testamentu, pogańskie, które były mu znane, żeby wyjaśnić Ofiarę Chrystusa. Na samym początku kiedy zastanawia się czym jest ofiara, to definiuje ją, jako przywrócenie wspólnoty. Człowiek traci to, co wspólnotę burzy, a zyskuje cały „materiał budowlany”, żeby wspólnotę zbudować. Czyli traci grzech, wady, wszystko to zło – tego się pozbywa, a zyskuje miłość, nadzieję, wiarę, cnoty kardynalne i to wszystko. Taki jest tego sens.

I Anna dokonując ofiary wchodzi z Panem Bogiem w bardzo intymną relację. Tym bardziej kiedy pójdziemy za tą myślą, że Anna znika z Biblii i chowa

się w Panu Bogu, to wymiana, jaka zachodzi między nią a Bogiem, jest bardzo konkretna. Ona oddaje Bogu swoje życie i swojego syna, a Pan Bóg daje jej w zamian samego Siebie. I ona o tym śpiewa w drugim rozdziale. Nie oznacza to, że traci syna, ale w tym kierunku idzie logika. Widzimy, z jakiej wiary i z czego wyrósł Samuel. Jest rzeczywiście dzieckiem wiary swojej matki.

Lektura drugiego i trzeciego rozdziału pokażą nam, że miał nie tylko dobre wzorce. Miał także dużo zgorszenia. Jak poczytamy o rodzinie Helego, medytacja nad tym może nam pokazać, w jaki sposób mamy przepracowywać to, co może nam we wspólnocie przeszkadzać w drodze do Boga. Nie mamy ulegać sielance, że wszystko jest różowe czy niebieskie (jaki kolor kto woli), ale że są rzeczy, które gorszą czy blokują i Samuel pokazuje, w jaki sposób można to przepracować. Podobnie jak Benedykt z Marcinem i Kasjanem.

Zachęcam, aby sięgnąć po pierwsze trzy rozdziały 1. Księgi Samuela i czytać o Annie i samym proroku i próbować w tym zobaczyć, w oparciu o to, co zostało tu naszkicowane, paradygmat życia oblackiego. Św. Bazyl Wielki w swoim drugim liście pisze do jednego z uczniów – młodego mnicha: „Czytaj Słowo Boże, czytaj Pismo Święte po to, żeby twoje serce, twoja dusza była pełna dobrych wzorców.” Rzadko myślimy o tym, że bohaterowie biblijni, zwłaszcza Starego Testamentu, mają nas inspirować do życia chrześcijańskiego, ale Ojcowie tak czytali Stary Testament. Samuela i Annę można uznać za wzorce życia oblackiego czyli życia w ofierze dla Pana Boga.

*Notowała z nagrania Teresa Lubowiecka, Kraków;*

*Autoryzował o. Szymon Hiżycki OSB*

Poniżej zamieszczamy jeszcze jeden tekst, który otrzymałam z Lasek od s. Hieronimy Broniec. Tym razem jej osobiste wspomnienie, które ukaże nam księdza biskupa w jeszcze innym świetle. †

### **WSPOMINA S. HIERONIMA O KONTAKTACH: W LASKACH, NA PIWNEJ CZY U ŚW. ANNY PO PAŹDZIERNIKU 1956 ROKU.**

Moje pierwsze spotkanie z ks. Bronisławem było w 1946 roku. Miałam 9 lat. Siedziałam z koleżankami na podłodze i luskaliśmy fasolę. Wpadł pomiędzy nas młody chłopiec z wesołymi okrzykami. Zawołał radośnie: „Kaśka”. Żadna z nas nie nosiła tego imienia. Zareagowała na ten okrzyk równie radośnie opiekująca się nami postulantka siostra Kasia, która okazała się siostrą naszego gościa. Dowiedziałyśmy się, że ów pogodny młody człowiek był wychowawcą naszych kolegów. Po dwóch latach okazało się, że studiuje i jest klerikiem. Następna wiadomość donosiła już, że jest księdzem wikarym w Piastowie.

W 1956 roku został mianowany rektorem odzyskanego przez siostry franciszkanki kościoła św. Marcina na ul. Piwnej w Warszawie. Mieszkałam tam 3 lata i było mi dane spotykać go codziennie w czasie liturgii, na korytarzu, w różnych sytuacjach. Uczestniczył w naszych troskach i radościach jak pogodny, dobry brat. W wakacje lubił żeglować i zabierał ze sobą kotkę Trąbkę, która budziła go łapką jak zegarek. Na wirydarzu przetrwała dwie wojny jedyna na Starówce akacja. Kiedy Trąbka bała się z niej zleźć, troszczył się o nią serdecznie.

Od Października 1956 r. w kościele św. Anny w poniedziałki odbywały się wykłady dla inteligencji. Głosili je ks. Kard. Wyszyński, ks. Paciuszkiewicz o kulturze, ks. Dembowski duszpasterskie, chyba społeczne, jeszcze jeden kapłan filozoficzne.

O działalności ks. Dembowskiego w czasie stanu wojennego myślę, że już ktoś powiedział więcej i mądrzej. Ja mogę tylko podzielić się swoimi wspomnieniami. Od 1980 roku jeździłam do Paderborn w Niemczech, przygotowywać w Brajlu Pismo Święte (naturalnie nie wszystkie księgi). Wozilałam ze sobą pismo ks. Prymasa Wyszyńskiego opiewające, że jadę zwiedzać zakłady

dla niewidomych. Moi gospodarze i dobroczyńcy, żebym miała co w domu opowiadać, bo o Piśmie Świętym było niebezpiecznie, za każdym pobycem obwozili mnie z moimi kolejnymi przewodniczkami po paru takich instytucjach.

Mimo treści pisma ks. Prymasa za każdym razem była walka o paszporty tak dla mnie jak i dla przewodniczki. Ostatni wyjazd był najmocniejszy w złośliwości. Na moje pytanie o paszport usłyszałam odmowę, a na pytanie: „Czy nie może mi pani pomóc?” usłyszałam: „Mogę, ale nie chcę” i urzędniczka wyjęła z szuflady mój paszport i zamachała mi nim przed nosem, jak mogłabym widzieć czym macha. Na to moje zmartwienie ks. Dembowski poradził mi iść jeszcze raz tego samego dnia przed zamknięciem biura. Powiedział, ŻE JAK ONA MNIE ZOBACZY, TO ONA SIĘ BĘDZIE MNIE BAŁA. I TAK BYŁO. Paszport dostałam nawet poza kolejką, ale do Italii a nie według tekstu wniosku. Urzędniczka miała nadzieję, że mnie zawrócą z lotniska. Nie wiedziała biedna, że nie podpisuję niczego, czego nie przeczytała mi przewodniczka. Poprawiła wpis.

Po najbliższym pobycie w Rzymie przywiozłam jej różaniec od Ojca św. Paszport się oddawało po powrocie. Rozplakała się: „Mój wnuk idzie do I Komunii. Ja też byłam w Rzymie”. Mruknęłam: „Służbowo” i podziękowałam zamykając drzwi. S.H.



## KOLEĐOWANIE 2020

Jeszcze przed Świątami Bożego Narodzenia nasza koordynatorka Jola Obczyńska rozesłała do oblatów zaproszenie następującej treści (patrz okładka styczniowego numeru):

***Drodzy oblaci – nasze wspólne kolędownie,  
odbędzie się 6 stycznia 2020 roku w godzinach 15.00 – 18.00  
w sali Petrus.  
Mile widziane słodkie „dary stołu”.***

***Szczególną atrakcją naszego spotkania będzie  
koncert kolęd renesansowych.  
Serdecznie zapraszamy.***

I stało się! Zebraliśmy się w gronie rodzinnym, bo jak to na kolędowniu było sporo dzieci. Równie licznie przybyli darczyńcy zaproszeni już drugi rok z rzędu oraz gospodarze czyli spora grupka mnichów z ojcem Opatem na czele. Stoły pod oknem uginały się pod cieszącymi oko ciastami i owocami.

Zgodnie z zapowiedzią rozpoczęliśmy od uczty duchowej – koncertu kolęd renesansowych. A było to tak, że brat Karol zaproponował Joli, by zaprosić panią Marię Klich, która uczy śpiewu naszych braci. Tak więc kolędowny z nami panie Maria Klich (sopran) i Justyna Dolot-Grabowska (wirginial).

Po koncercie nadszedł czas na kawę, herbatę i wcale niemal „co nie co”. Powitaniom i rozmowom nie było prawie końca. Gwoździem programu była jednak lira korbowa, która cieszyła się wielkim zainteresowaniem zwłaszcza panów, co znacznie przedłużyło czas przerwy.

Wreszcie nadszedł czas na wspólny śpiew, który bardzo się udał dzięki akompaniamentowi na wiolonczeli w wykonaniu Magdaleny Obczyńskiej, a pani Maria Klich towarzyszyła nam na przemian na fortepianie i lirze. Dzięki śpiewnikom pieczołowicie przechowywanym z roku na rok w „naszej szafie” w Sali św. Benedykta, śpiewaliśmy dzielnie nie tylko po jednej zwrotce.

Na zakończenie tradycji stało się zadość i śpiew poprowadził o. Włodzimierz, proponując pastoralki mniej znane, a o ciekawej melodii. W kilku przypadkach była ona tak skomplikowana, że o. Włodzimierz śpiewał solo.

Było nam tak dobrze razem, że rozjechaliśmy się do domów pół godziny później niż to było planowane, ale przy wiosennej pogodzie nikomu nie groziło utknięcie w zaspach. tl







*Fotografował o. Tomasz Dąbek OSB*

## **SIOSTRY BENEDYKTYNKI SAKRAMENTKI**

Siostry zapraszają w kolejne czwartki – **6, 13, 20, 27** lutego – na całodzienną, wspólną adorację Najświętszego Sakramentu, a o godz. 19:00 na Liturgie Godzin (Godzinę Czytań i Kompletę) do klasztornej kościoła pw. Św. Kazimierza Królewicza w Warszawie .



**PROGRAM SPOTKANIA W OLSZTYNIE**  
**W CENTRUM DUSZPASTERSKIM (UL. KOPERNIKA 47)**  
**PONIEDZIAŁEK 3 II 2020**

- 16:00 – ROZPOCZĘCIE COMIESIĘCZNEGO SPOTKANIA WSPÓLNOTY „BENEDICTUS” – Bądź szczęśliwy!
- uroczyste zapalenia świecy - symbolu obecności wśród nas Chrystusa
  - wezwanie do Ducha Świętego
  - 10 min. Modlitwy Jezusowej
  - Nieszpory
  - Czytanie Reguły św. Benedykta
  - Lectio Divina 1 Sm 1,9–28
  - Dzielenie się i umacnianie Słowem Bożym
  - Sprawy bieżące Wspólnoty
  - Eucharystia w Kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa

**DZIEŃ SKUPIENIA OBLATÓW W TYŃCU**  
**SOBOTA 15 LUTEGO 2020**

- 09.00 Spotkanie Nowicjuszy z o. Opatem Szymonem Hiżyckim OSB – **Sala Paulus**
- 10.00 Msza Święta (*Osoby które chcą pełnić służbę liturgiczną przy Ołtarzu, proszeni są o kontakt z Oblatem Piotrem Lewickim*), po Mszy św. Adoracja Najświętszego Sakramentu – **Kościół**
- 11.15 Przerwa na kawę
- 11.45 Konferencja z o. Opatem Szymonem Hiżyckim OSB - **Sala Paulus**
- 12.50 Modlitwa w ciągu dnia z mnichami w kościele
- 13.00 Obiad
- 14.00 Lectio Divina z o. Opatem Szymonem Hiżyckim OSB i sprawy organizacyjne – **Sala Paulus**
- 16.00 Dla chętnych medytacja (*proszę o zgłoszenie się do Jarka Obczyńskiego*)
- 17.00 Nieszpory z mnichami w kościele.

## WARSZAWSKIE SPOTKANIA BENEDYKTYŃSKIE

Temat:

Kim był św. Benedykt? Czytanie drugiej księgi „Dialogów” św. Grzegorza Wielkiego (1) (*o. Opat Szymon Hiżycki OSB*)

### 28. lutego w piątek Ursynów

**Parafia bł. Edmunda Bojanowskiego:**

20.00 Msza św. z homilią

21.10 Konferencja tematyczna i spotkanie zakończone Kompletą

### 29. lutego w sobotę kościół ss. sakramentek

**na Rynku Nowego Miasta:**

9.00 Msza św. z homilią

Ok. 9.45 Adoracja Najświętszego Sakramentu

10.00 Konferencja tematyczna

10.45 Spotkanie w salce zakończone Modlitwą w ciągu dnia z Liturgii Godzin

## KALENDARIUM

2 II *Święto Ofiarowania Pańskiego*

3 II Spotkanie grupy Benedictus w Olsztynie

10 II *Św. Scholastyki*

1-4.II *Świętych Cyryla i Metodego*

14-16 II Benedyktyńskie Dni Skupienia w Gietrzwałdzie

15 II Dzień skupienia oblatów w Tyńcu

26 II *Popielec*

27 II Spotkanie formacyjne oblatów klasztoru Benedyktynek Sakramentek w Warszawie poprowadzi o. Opat Szymon Hiżycki OSB. Po wspólnej Liturgii Godzin kilka osób rozpocznie nowicjat oblacki

28-29 II Benedyktyńskie Spotkania w Warszawie – Kim był św. Benedykt? Czytanie drugiej księgi „Dialogów” św. Grzegorza Wielkiego (1) (*o. Opat Szymon Hiżycki OSB*)